

W Chinach najlepiej sprzedaje się

8 kwietnia w 20 miastach Chin, Indii, Korei Południowej i Japonii rozpocznie się prezentacja polskiego teatru, muzyki, sztuki i dizajnu. To kolejna odsłona Projektu Azja firmowanego od 2008 r. przez Instytut Adama Mickiewicza.

ANNA S. DĘBOWSKA

Wydarzenia to m.in. trasa koncertowa orkiestry Sinfonia Varsovia, zespołu Saagara i Wacława Zimpla, pokazy spektakli „Plac Bohaterów” w reż. Krystiana Lupy, „(A)pollonia” w reż. Krzysztofa Warlikowskiego i „Męczenicy” w reż. Grzegorza Jarzyny, wystawa projektowania graficznego pt. „Eye on Poland”.

Prezentacja rozpocznie seria muzyki dawnej. Od 8 do 24 kwietnia w Pekinie i Wuhanie zabrzmia muzyka barokowa w wykonaniu Olgi Pasiecznik (sopran), Marcina Świątkiewicza (klawesyn) i Michała Gondko (lutnia). Następnie, pod koniec kwietnia, na głównych scenach 10-milionowych miast Tiencin i Harbin zagrane zostaną „Kryjówka” w reż. Pawła Passiniego i „Album Karla Hoeckera” w reż. Paula Bargetta. W tym samym czasie Kwartet im. Szymanowskiego, którego liderką jest skrzypaczka Agata Szymczewska, obędzie Koreę, Hongkong i Tajwan, a w Pekinie i Szanghaju (na Strawberry Music Festival) wystąpi postrockowy Tides From Nebula.

Wiemy, co w Chinach nie przejdzie: nagość, gwałt, kopulacja lub choćby jej zamarkowanie, słowa: „Tajwan”, „Nepal”, „Dalajlama”. Tego nie proponujemy

Trzy serie wspomnianych wyżej przedstawień Lupy, Warlikowskiego i Jarzyny pokażą w maju i czerwcu Teatry Wielkie w Tiencinie i Harbinie (po dwa pokazy każdego z tytułów w obu miastach).

W połowie czerwca ruszy wystawa grafiki i książki „Eye on Poland”, którą do końca września obejrzą widzowie w Indiach, Korei i Japonii (Tokio). Jesienią Chińczycy zobaczą dwa spektakle Jana Klaty: „Wroga ludu” pokaże Wuzhen Theatre Festival, a „Króla Leara” Teatr Wielki w Pekinie.

To tylko wybór spośród wielu wydarzeń. Bogaty program zamknie w grudniu trzykrotne wystawienie opery Mieczysława Weinberga „Pasażerka” w Teatrze Wielkim w Tiencinie. ●



Tłum najmłodszych Chińczyków na ubiegłorocznej pekińskiej wystawie „Skarby z kraju Chopina”

ROZMOWA Z

DR. MARCINEM JACOBYM

sinologiem, kuratorem Projektu Azja z Instytutu Adama Mickiewicza



ANNA S. DĘBOWSKA: Prawie 300 tys. osób obejrzało ubiegłoroczną prezentację polskiej sztuki w Chinach, której filarem była wystawa „Skarby z kraju Chopina”. Tegoroczne pokazy to efekt tego sukcesu?

MARCIN JACOBY: Naszej długoletniej pracy. Już od sześciu lat w ramach Projektu Azja regularnie prezentujemy polską sztukę w kluczowych krajach Azji. IAM nie jest oczywiście jedynym kulturalnym przedstawicielem naszego kraju na Dalekim Wschodzie. Jest tam też obecny Narodowy Instytut Fryderyka Chopina, Instytut Książki, Instytut Polski w Pekinie, Elżbieta Penderecka, która w stolicy Chin organizuje Festiwal Kultury Polskiej, i wiele innych instytucji. Robimy swoje, starając się być dla Chińczyków twardym graczem, i mamy już pierwsze efekty naszych działań. Rośnie liczba publikacji o Polsce, przeważnie bardzo pozytywne. Co idzie w parze z rosnącą ekspansją Chińczyków w krajach Europy Środkowo-Wschodniej.

Jak Chiny zmieniły się w tym czasie?

- Obserwuję je od 2004 r., a od 2008 jako pracownik IAM odpowiedzialny za negocjacje z azjatyckimi organizatorami życia kulturalnego. W ciągu tych 12 lat zaszły kolosalne zmiany. Chińczycy więcej wiedzą o świecie, są mniej zakomplekszeni, pewniejsi siebie, a przez to nastawieni bardziej nacjonalistycznie, nawet szowinistycznie. Mają świadomość, że obok USA są teraz głównymi rozgrywającymi na świecie. I dziwią się: „Jak to, nie mówisz po chińsku? Trzeba się uczyć!”

Wychylił się poza chiński mur?

- Sami Chińczycy są bardzo otwarci, spragnieni nowości. Mur postawi-

ła Komunistyczna Partia Chin, by chronić ich przed dostępem do informacji. I tu mamy paradoks, bo przeciętny Chińczyk mimo ograniczeń wcale nie chce zmiany władzy. Skoro KPCh doprowadziła do dynamicznego rozwoju gospodarczego, a w kraju jest o niebo lepiej niż kilkanaście lat temu, niech partia rządzi nadal.

Chińczyk nie chce wolności słowa?

- On nie wie, co to jest.

A że internet jest cenzurowany?

- Nam się wydaje, że tam wszyscy marzą, żeby przeczytać o masakrze na placu Tiananmen. Chińczycy korzystają nielegalnie z zagranicznych serwerów, ale nie po to, żeby szukać niezależnej informacji na świetnie redagowanej chińskiej stronie BBC News albo żeby dowiedzieć się, jak skorumpowana jest ekipa rządząca, ale po to, żeby ściągać filmy na lewo. Osób, które interesuje prawda, jest mało.

A demokracja?

- To zależy, z kim się rozmawia. Są wąskie grupy, które pracują nad tym, żeby Chiny szły w kierunku demokracji. Ale większość społeczeństwa uważa, że demokracja jest czymś, co zagraża wewnętrznej stabilności. To jest częściowo efekt propagandy, ale częściowo jest zakorzenione historycznie. Panuje przekonanie, że wprowadzenie możliwości wypowiedzania się przez każdego i wspólnego decydowania o losach kraju doprowadzi do chaosu, co z kolei pociągnie za sobą powstania, rzezie, zapaść gospodarczą. A tego właśnie Chińczycy najbardziej się boją: że ich gospodarka padnie i nie będzie już żadnej siły kontrolującej tę ponadmiliardową populację.

Nie mają tradycji przedstawicielstwa?

- Nie mają. Ale na Tajwanie, na którym mieszkają Chińczycy, panuje przecież demokracja, więc argument, że naród chiński nie nadaje się do tego typu rządów, jest nieprawdziwy. Chińczycy są podobni do Rosji w myśleniu, że nie ma to jak silna ręka.

Jak oni rozumieją Zachód?

- Błędnie. Do jednego worka pakują chrześcijaństwo, demokrację, indywidualizm, Europę i USA. Nie wiedzą, że chrześcijaństwo zostało przeniesione do Europy z Bliskiego Wschodu, i są prawie o krok od stwierdzenia, że narodziło się w Ameryce.

Cenzura jest także cenzurą obyczajową?

- W pierwszej kolejności. Za pornografię karze się śmiercią. Chiński internet jest z niej wyczyszczony. Ale ściągają ją sobie z japońskich stron internetowych, więc istnieje tak jak u nas narkotyki: wiemy, że są nielegalne, ale jeśli chcemy je kupić, to wiele osób wie gdzie. W oficjalnym obiegu nie ma nagości, zagraniczne filmy są montowane osobno na Chiny. Rynek jest tak atrakcyjny, że nawet reżyserzy godzą się na takie interwencje, byle tylko pokazać swoje produkcje w Chinach.

„Ostatnie tango w Paryżu” i „Życie Adeli” tracą sens.

- Kilkanaście minut zostanie wycięte.

Czy coś z polskiej oferty odrzucono z tego powodu?

- Wiemy, co nie przejdzie: nagość, gwałt, kopulacja lub choćby jej zamarkowanie, słowa: „Tajwan”, „Nepal”, „Dalajlama”. Tego nie proponujemy.

A homoseksualizm?

- Jest szarą strefą w Chinach. Ludzie nie chcą o tym za dużo mówić, ale często przechodzi. W „(A)polonii” mężczyźni się całują, w „Męczenicach” też pojawia się homoseksualny epizod. Ale na pokazanie u nich „Lubiewa”, czyli sztuki o życiu homoseksualistów, Chińczycy się nie zgodzili. Z tym że to było w Pekinie. W stolicy najtrudniej o liberalną decyzję, a im dalej od stolicy, tym łatwiej. Chiny już od dawna nie są scentralizowane.

Polskie spektakle i koncerty grane są w teatrach i salach koncertowych znajdujących się niemal wyłącznie na wschodnim wybrzeżu kraju. Dlaczego?

- Na wschodzie są największe miasta, największy rozwój, najwięcej pieniędzy. Chińczycy dzielą sektor kultury na trzy poziomy. Najbardziej rozwinięte są Pekin, Szanghaj i Kanton. Poziom drugi to miasta, w których działamy i w których nasza oferta budzi największe zainteresowanie: Tiencin, Harbin, Shenzhen, środkowo-wschodni Wuhan. Reszta to tzw. prowincja, do której nie docieramy. Nie ma sensu, by Sinfonia Varsovia jeździła tam, gdzie będzie pierwszą orkiestrą, którą Chińczycy usłyszą.

Czyli polska oferta dociera do osób uprzywilejowanych?

- Do dobrze wykształconych mieszkańców największych miast, którzy mają potrzeby kulturalne i stać ich na bilety za równowartość 300 lub 400 złotych.

Jak wygląda finansowanie kultury w Chinach?

- Ten rynek jest bardzo niestabilny. Chińczycy pobudowali mnóstwo wspaniałych teatrów, sal koncertowych, a jednocześnie stworzyli reformę, którą można by nazwać urynkowaniem kultury. I powstał paradoksalny układ. Właściwie wszystko jest tam państwowe, ale instytucje zajmujące się kulturą muszą generować zyski. Od państwa nie dostają nic. Wydawnictwa wydają tylko te książki, na których mogą zarobić. To grupa Poly, z którą realizujemy teraz serię koncertów muzyki dawnej i trasę koncertową Sinfonii Varsovia. To absolutny gigant, który w stu procentach podlega rządowi, zarazem jednak rekin na rynku nieruchomości, właściciel jednego z największych domów aukcyjnych, operator ponad 40 sal koncertowych i teatralnych w całym kraju. To biznesmeni, którzy muszą pokazać swoim zwierzchnikom, że zarabiają pieniądze. I tak trzeba z nimi rozmawiać - językiem biznesu.

Włosi czy Niemcy płacą duże pieniądze za pokazanie w Chinach swojej sztuki. Polska też?

- My działamy inaczej i jesteśmy z tego dumni. Kiedy w 2008 r. zacząłem z ramienia IAM budować bezpośrednie relacje z partnerami w Chinach, borykałem się z tym, do czego przyzwyczaili miejscowych nasi koledzy z Zachodu. Chińczycy są świetnymi kupcami, widząc wielkie zainteresowanie Zachodu swym wschodzącym rynkiem, podnieśli ceny. Np. Niemcy, wchodząc tam razem z wielkim biznesem, mówili: „Zrobimy tu koncert, zaprosimy na niego biznesmenów, wasze elity i podpiszemy umowę”. A Chińczycy: „Proszę bardzo, 200 tys. euro”. I Niemcy placili. Więc na początku usłyszałem: „Jesteś z Europy? Czyli tak jak Francuz czy Brytyjczyk zapłacisz nam trzykrotnie wyższą cenę za możliwość pokazania swojej oferty”. Ja na to: „Tak nie będziemy rozmawiać. Mam ciekawą ofertę kulturalną, chcę, żebyście się nią zainteresowali, a gdy tak się stanie, wynegocjujemy warunki”. Bo my działamy w drugą stronę. W Polsce nie ma globalnego biznesu, więc próbujemy dzięki kulturze stworzyć pozytywny wizerunek naszego kraju. Parę lat to zajęło, ale się udało. Przebiliśmy się.

To znaczy?

- W tym roku Chińczycy zapłacą za honoraria, hotele, diety, transport, promocję. Byle mieć u siebie Lupe i polski teatr. My płacimy tylko jedną szóstą lub nawet jedną ósmą całego budżetu, głównie za bilety lotnicze dla naszych artystów. A jeszcze w 2010 r. na wystawę na Expo w Szanghaju Polska wydała ogromne pieniądze, bo to była sprawa polityczna i wizerunkowa.

Lupa się sprzedaje na pniu?

- W stu procentach. I mamy nadzieję, że wrośnie w ten rynek i inni polscy artyści też. Bilet na pokazywaną niedawno „Wycinkę” u koników kosztował równowartość 1400 złotych.

Co Chińczyków mogło zafascynować w środkowoeuropejskim samobiczowaniu się Bernharda?

- Oni odczytali ten spektakl politycznie, jako niezwykle ostrą krytykę tego, co się w Chinach dzieje na styku

moralność

świata władzy i kultury. Są artyści reżimowi, blisko trzymający się władzy, którzy mają z tego ogromne profity. Właśnie o ich „prostytucji” mówi między innymi Lupa. Ale też pamiętajmy o warstwie czysto artystycznej. Chińczykom bardzo się podoba teatr działający tak intensywnie, dogłębnie, na zasadzie transgresji. To jest dla nich nowe. Dlaczego tak pokochali Sandrę Korzeniak czy Piotra Skibę? Bo zobaczyli aktora, który emocjonalnie obnaża się całkowicie. Ich teatr jest często płytki, konwencjonalny.

Oni są zlaknieni treści moralnych. Chiny wyjałowiły się pod tym względem przez swoją politykę niezwykle szybkiego rozwoju i brutalnego, pazernego kapitalizmu. Religię zniszczyli, maoizm nie dał nic w zamian, socjalizm jest atrapą, jedynym bogiem - pieniądź. Pojawiła się pustka, więc ludzie szukają. Stąd zainteresowanie religią, zwłaszcza chrześcijaństwem, i sztuką. W tę wyrwę my wchodzimy z teatrem, który bywa w swojej intensywności wręcz metafizyczny.

Ciekawe, jak Lupa zostanie przyjęty w Tokio?

- Z europejskiej perspektywy Azja to jeden gar. Tymczasem Japonia i Chiny różnią się od siebie tak jak np. Rosja i Wielka Brytania. O ile w Chinach całe środowisko będzie mówiło o Lupie i polskim teatrze, o tyle Japończycy, przynajmniej w kulturze, tworzą społeczeństwo podzielone na różne nisze, które na dodatek w ogóle się ze sobą nie komunikują. Wśród nich znajdzie pani wyrafinowanych miłośników najdziwniejszych fenomenów kultury, tworzących wąskie grupy, o których mało kto wie. Natomiast masy interesują się wyłącznie popem w najgorszym wydaniu. Teraz jest np. moda na pop koreański, K-Pop. I to jest dramat, bo to oznacza, że poza komediami miłosnymi czy koreańskimi girls i boysbandami niewiele interesuje Japończyków. Tam właściwie nie mamy z kim rozmawiać, bo nisze już dobrze wiedzą, czego chcą, i na tym poprzestają. Od 30 lat oglądają np. europejskie kino studyjne, znają Wajdę, Hasa, ale nie są ciekawi innych nazwisk.

Z Chopinem się udało.

- Tak, bo tam jest duży rynek fonograficzny i wydawniczy. Ale już o Szymanowskim nikt nie chce słyszeć, o muzyce współczesnej nie ma mowy. **Indie to nowość w działaniach IAM. W tym roku zaprezentujecie polską sztukę, teatr i projekty dla najmłodszych. Dlaczego?**

- To geopolityczna decyzja. Mamy nadzieję, że to, co robimy, przygoto-

wuje grunt dla polskich inwestycji, żeby w przyszłości było prościej polskiemu biznesowi, turystyce, edukacji. Po to był sezon w Izraelu, w Wielkiej Brytanii, żeby zmienić myślenie o naszym kraju.

A polski biznes już w Indiach jest?

- Bardziej indyjski w Polsce. Polski biznes jest za mały, boi się ryzyka, nie ma kapitału, choć dużym atutem naszego kraju z indyjskiego punktu widzenia jest członkostwo w UE.

Co interesuje Hindusów?

- W 2013 r. roku zrobiliśmy cykl analiz, pojechaliśmy do New Delhi, Bombaju i Bangalur, które wydały się nam najbardziej otwarte na polską ofertę. Wyszło nam, że polska muzyka klasyczna nie ma szans, bo w całych Indiach jest tylko jedno miejsce, w którym można ją zaprezentować: National Center for Performing Arts w Bombaju. Bardzo dużo potencjalnych partnerów znaleźliśmy w sztukach wizualnych, bo grafika i malarstwo najbardziej interesują stronę indyjską. Działają tam prężnie NGO-sy indyjskie finansowane przez instytucje europejskie, australijskie i amerykańskie, np. Khoj w New Delhi, IShanti Road w Bangalur, Clark House Initiative w Bombaju.

Co one robią?

- Zapraszają artystów ze świata na rezydencje, rekomendują swoich artystów na rezydencje w krajach zachodnich, organizują wystawy, miejsca pracy nad wspólnymi projektami.

Rząd Indii nie ma pieniędzy na kulturę?

- Chodzi raczej o to, że w Indiach system finansowania kultury jest bardzo skostniały, staroświecki. Jedna, przerośnięta administracyjnie instytucja, Indian Council for Cultural Relations, decyduje niemal o wszystkim, trudno się do niej dostać nie tylko obcokrajowcom, ale też miejscowym artystom. Jednak trochę z tego korzystamy i od 2011 r. wysyłamy polskie teatry na festiwal Bharat Rang Mahotsav w New Delhi. W tym roku była tam pokazywana „Sońka” Ignacego Karłowicza w reż. Agnieszki Korytkowskiej-Mazur i mimo że była kolaudacja, a nagranie obejrzało wcześniej 30 hinduskich ekspertów, którzy mieli ocenić, czy nie ma w nim treści, które mogłyby np. urazić uczucia religijne, nie obyło się bez skandalu. Protestowali radykałiści islamscy, a z drugiej strony feministki. Jednym i drugim nie odpowiadała krótka scena na gości, umotywowana zresztą dramaturgicznie w tym spektaklu.

Chcecie docierać do liderów opinii?

- W przypadku Indii rzeczywiście chcemy tworzyć ofertę dla osób wpływowych. To do nich jest skierowana np. wystawa grafiki i książki „Eye on Poland”. W Indiach musimy działać na poziomie pracy u podstaw. Nie ma sensu robić tam dużych wydarzeń, bo wtedy trzeba współpracować z państwowymi molochami. Lepiej bezpośrednio współpracować z galeriami, festiwalami, muzeami i organizacjami społecznymi, które są otwarte na nowe propozycje z zewnątrz. Chcemy też, aby polscy artyści angażowali się w bezpośrednią współpracę z lokalnymi środowiskami twórczymi, takie projekty z chęcią popieramy. W Indiach nielato jest budować współpracę kulturalną na zasadach komercyjnych, więc my na początku jesteśmy gotowi mocno dofinansować jakieś wydarzenie, aż w końcu artyści będą wyjeżdżać zupełnie za pieniądze zagraniczne.

W Indiach teoretycznie system kastowy został zniesiony, ale nadal istnieją ogromne podziały społeczne. Jest wąska grupa, która albo się dorobiła, albo ma pieniądze od kilku pokoleń wstecz. To ludzie wykształceni głównie w Wielkiej Brytanii. Są obywatelami świata, są świetnie wykształceni, oferta dla nich musi być bardzo atrakcyjna.

Jak więc działacie?

- Stawiamy na sztuki wizualne i design, ale też na rozwój współpracy polskich i indyjskich artystów.

Świetny przykład to kompozytor i klarncista Waclaw Zimpel i zespół Saagara, jeden Polak i czterech Hindusów, którym się dobrze gra ze sobą. Inny przykład to Łukasz Chotkowski, który w Kalkucie przygotowuje spektakl „Wdowy z Vrindavan”, koprodukcję z Teatrem Powszechnym w Warszawie. Znaleźliśmy partnera indyjskiego, teatralnego, który stwierdził, że interesuje go temat. Łukasza zaciekał los wdów w Indiach, które w tradycji patriarchalnej nie mają możliwości finansowych, żeby prowadzić normalne życie: ani zawodu, ani pracy, emerytury czy zasiłku. Z dnia na dzień zostają wyrzucone poza nawias społeczeństwa. Wiele z nich popelnia samobójstwo, inne zostają prostytutkami. We Vrindavanie pewna organizacja stworzyła dla nich azyl.

Łukasz tam pojechał, zaczął z nimi rozmawiać, spisywać ich historie, i z dramatopisarką Martą Fertacz postanowił zrobić o tym spektakl. W listopadzie będzie premiera w Kalkucie. ●

ROZMAWIAŁA ANNA S. DĘBOWSKA